№ 83. Warszawa, dnia 3 (15) Października 1872 roku. Tom II. — Rok I.



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni-wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

ALFRED de MUSSET.

Studyum Literackie.



Wypadek wojny francuzkiéj roku 1870, oddziałał we Francyi nie tylko na stosunki polityczne, moralne i społeczne, ale i naukowe i literackie. Zaczęto się wypierać wpływu literatury i filozofii niemieckiéj, obrzucono nawet w ostatnich miesiącach potępieniem panią de Staël, za jéj dzieła o Niemczech, które tak nagle swojego czasu rozbudziły współczucie dla idealnego kraju „Germanów". Idealizm niemiecki który stał się modą, i popchnął do przekładów z tego języka i do naśladownictwa—miał też być nie bez wpływu na koryfeuszów romantyzmu francuzkiego. Słynny krytyk Sainte-Beuve jednak, jakby w przeczuciu przyszłego pognębienia Francyi, a w odpowiedzi jednemu z autorów, silnie broni się przed tym zarzutem mówiąc:

„Znałem przywódzców tak zwanéj „szkoły romantycznéj", i mogę powiedzieć że mniéj naśladowali literaturę zagraniczną a zwłaszcza niemiecką, aniżeliby się to zdawać mogło. Talenta te wzrosły same przez się, z rodzimego natchnienia, w prostéj linii wyszedłszy z ruchu francuzkiego, inaugurowanego przez Chateaubrianda. Pani de Staël wpływa bardzo ubocznie na Lamartina, Wiktora Hugo, Alfreda de Vigny i innych. Żaden z wielkich poetów romantycznych nie umiał po niemiecku, (Bajron również nie znał tego języka w chwili, gdy się ukazał Faust Getego)—jeden może Gerard de Nerval. Gete był dla nas bogiem, któregośmy *odgadywali* raczéj aniżeli znali. Odwiedzano go w Weimarze nie dla zaczerpania natchnienia, ale dla oddania mu pokłonu. Wiktor Hugo, czasem tak na wskróś hiszpański, czytał mniéj autorów hiszpańskich aniżeli powszechnie sądzą, a w swéj niebogatéj bibliotece miał przekład *Romanzero*, dokonany przez brata Abla Hugo.

Pierwsze to i wielkie wspomnienia młodości, wryły się tak wspaniale w jego umysł, zrobiwszy z niego „granda hiszpańskiego pierwszéj klassy w poezyi." Lamartine, obcy zupełnie żywiołowi niemieckiemu, rozumiał poetów włoskich. W pierwszych pieśniach Lamartina, drga Tasso. Bajrona nawet odgadywał raczéj aniżeli znał dobrze—a jeśli go czytał to nie tyle w tekście angielskim, ile we własnych uczuciach i we własnéj duszy. Krótko mówiąc, poeci epoki romantycznéj francuzkiéj, śpiewali ze swego ducha a nie naśladowali—i dla tego właśnie godzi się ich naśladować. Oryginalnemi dziełami, chciano zrobić wyłom w murze. Wiktor Hugo gardził naśladownictwem, miał bowiem przedmiotów w sobie samym aż nadto. A gdy już puszczono się na tę drogę, pozostało dla wyobraźni wielkie pole. Merimée wydał *Klarę Gazoul*, znając Hiszpanię zaledwie z książek—bo daleko późniéj po wydaniu dzieła zwiedził ją (*). Miał się nawet z tém odezwać, że gdyby ją znał był pierwéj, nie byłby stworzył tego pierwszego swego dzieła..."

Mimo tak stanowczego orzeczenia, wpływ *pośredni*, przynajmniéj co do ogółu poetów téj epoki—mimowolny, zaprzeczyć się nieda. Prawda że liryzm francuzki i liryzm niemiecki, nie były wcale do siebie podobne. Poezya albowiem francuzka, jak ją ktoś trafnie nazwał, była „wielką damą dystyngowaną, pełną kokieteryi i wdzięku, czasami marzącą, czasami w swym buduarze namiętną, dowcipną zawsze, i niezapominającą o dobrym tonie nigdy;—niemiecka zaś, mieszczańską dziewczyną ze spuszczonemi oczyma, z rumieńcem i czułym uśmiechem, przechodzącą od trosk domowych nagle w ekstazę namiętnego iryzmu. Obie różniły się przedewszystkiem: sposobem wyrażenia." Liryzm francuzki zubożały pruderyą z czasów Moliera i dwójznacznikiem, naciągnięty szumną dekoracyą dworu Ludwika XIV, lub znowu zrzucający maskę bachancko, z nastrojem komedyanckim raczéj niżeli kapłańskim,—zerwał z naturą, ze świeżem i czystem natchnieniem. Niebo nawet było dlań siedliskiem bogów olimpijskich, a gwiazdy tkaniną mitologiczną. Jeszcze w epoce odrodzenia, poezya francuzka pozostała pogańską, przynajmniéj co do formy. Nagle dopiero, uczeni, tłómacze odsłonili wyobraźni francuzów styl nowy, widnokręgi głębsze. Podczas gdy Walter-Scott i Gete przeistaczali romans francuzki—Ossyan i poezya angielska (czerpiąca pierwotnie w panteizmie niemieckim) przeistaczali poezyę francuzką. Bajron przed innymi nadający ton epoce, przemienił muzę francuzką, dotychczas umiarkowaną i rozsądną, w huraganową i piorunową. Znaleźli się tłómacze. Przełożono Ossyana, Wilhelma Szlegla (Lebensharmonien) Gessnera, Getego, Szyllera i Herdera. Tłómaczom nie chodziło o wierność, ale o pochwycenie właściwego tonu, o zrozumienie głębokości i tajemniczości ducha obcego, czyli o odczucie i oddanie w języku francuzkim tego, co uczuli i oddali niemcy i anglicy w swoim. Poezya obracająca się dotąd w ciasnych granicach madrygału, od szumnych, epigramatów XVII i XVIII wieku, przeradzała się z prostéj rozrywki towarzyskiéj jaką dotychczas była, w język dzielnie malujący uczucia, potrzeby serca i krzyk duszy.

Kiedy się ukazały „Méditations" Lamartina zrozumiano, że przeobrażenie prawie już doko-

(*) Tomasz Moore nie znając Indyi, napisał przepyszny poemat „Lalla Rookh." *(Przyp. autora).*

nane. Lamartine wszedł na drogę prawdziwéj, wielkiéj poezyi; a chociaż natury wręcz przeciwnéj z Bajronem, znać przecie na nim wpływy wiekowego procesu. Czasem nawet natchniony bywa poezyą albiońskiego poety, kiedy np. w inwokacyi do niego, tak się odzywa:

„Toi dont le monde encore ignore le vrai nom,
Esprit mystérieux, mortel, ange ou démon
Qui que tu sois Byron, bon ou fatal génie
J'aime de tes concerts la sauvage harmonie,
Comme j'aime le bruit de la foudre et des vents,
Se melant dans l'orage à la voix des torrents!
La nuit est ton séjour, l'horreur est ton domaine;
L'aigle, roi des déserts dédaigne ainsi la plaine;...."

Ty, którego świat niezna prawdziwego miana,
Czyś wcielenie człowieka, anioła, szatana,
Ktośkolwiek, tajemniczy zły czy dobry duchu,
Dziki akord twych pieśni, mile brzmi w mém uchu,
Jak owe wśród ulewy shukane poświsty
I łoskoty, co piorun ścigają ognisty!
Noc jest twoim przestworem, okropność dziedziną,
Jak orzeł, król pustyni, pogardzasz doliną...

A potem znowu w tych słowach, jakże się zdradza z podziwem swoim, dla wielkiego reformatora w dziedzinie fantazyi;

...Et toi Byron, semblable à ce brigand des airs,
Les cris du desespoir sont tes plus doux concerts
Le mal est ton spectacle, et l'homme est ta victime
Ton oeuil comme Satan, a mesuré l'abime,
Et ton ame, y plongeant loin du jour et de Dieu,
A dit à l'esperance un éternel adieu!...

Jak ów zbójca powietrzny, tak i ty Byronie,
Toniesz w krzyku rozpaczy, jak w najsłodszymn tonie,
Złeś dał na widowisko, człeka na zdeptanie,
Bystrém okiem szatana zmierzyłeś otchłanie,
I dusza tam uciekła od światła i Boga,
Gdzie na wieki nadziei zagrodzona droga.

Lamartine, klassyczny jeszcze w formie, zapala się przecież temi rozdzierającemi akordami, dobywanemi z duszy zranionéj; uwielbia mimowoli tę poezyę rozpaczy, targającą się zuchwale na cały porządek religijny i społeczny. Nie podziela on ostatecznéj energii Bajrona, jego przekleństw i rozterki z całym światem, ale czuje się nią zachwycony szczerością wzruszenia, oryginalnością sceptycyzmu i potęgą słowa. Unosi się on w czystych obłokach liryzmu, zdala od wrzawy i realizmu świata, dotknąwszy się go zaledwie w poemacie p. t. „Jocelyn" Rzecz się ma inaczéj z Wiktorem Hugo, który jest prawdziwym burzycielem, i jednym z najgłówniejszych przedstawicieli romantyzmu.

Dzieło romantyzmu we Francyi, przedewszystkiem ograniczało się na zmianie dotychczasowéj formy literackiéj. Zburzyć formę którą uszanowali encyklopedyści z Wolterem na czele, było zuchwałością niesłychaną. To też mimo uznania talentu paradoksalnego W. Hugo i jego niepożytéj twórczości, rzucono anathema na szkołę jaką tenże wytworzył. Między innymi Deschamps powiedział: „...Dość, iżby się obłąkało dwóch lub trzech pisarzy, ażeby pociągnąć za sobą całą gromadę małp, przybiérającą maskę smutku;... ich głównem staraniem jest *pozowanie* w obec publiki — *opowiadają nam więc swoje drobne sekreta, opisują swój przesyt, bladość swego czoła i rozpacz swéj duszy. Wszyscy oni mają wielkie brwi czarne i oczy zalane łzami, które otwierają dopiero o zmroku ażeby popatrzeć na groby i ruiny...* Otoż kto usiłuje zawsze straszyć i przerażać, kończy na śmieszności—bo rafą romantyzmu jest śmieszność. Atoli ta śmieszność nie dosięgnie nigdy W, Hugo,—koniec końców poetę często wzniosłego... i t. d.

Nie należymy bynajmniéj do tych którzy z okazyi jakiejbądź rozprawki, krytyki, recenzyi, bodaj wykrzyknika—wybuchają pogardą, do któréj często sami najmniejszego niemają prawa, dla całego obecnego piśmiennictwa, dla wszystkich objawów naszéj literatury, a przedewszystkiém dla najmłodszych naszych poetów; atoli tu już na wstępie, nie możemy się powstrzymać od dania tym ostatnim rady, iżby sobie te słowa obcego krytyka, wypisali złotemi zgłoskami. Wiecznie bowiem załzawieni, omdlewający, czarnemi barwami malujący świat, krwią i piorunami szafujący bez miary — ani przypuszczać mogą ile sprawiają ckliwości, jak dalece oburzają nawet żyjące nasze społeczeństwo, które nie pogardza bynajmniéj łzą szlachetną, płynącą z przepełnionego pięknym uczuciem serca, ale brzydzi się kwileniem niezdarném, udaném i sztuczném. Indywidualizm najsamolubniéj i najciaśniéj pojęty, jeszcze słabiéj odmalowany słowem, czyż może zastąpić czysty zdrój prawdziwego uczucia, czy może pobudzić i natchnąć prostaczków choćby, pragnących przy dźwięku liry pokrzepić zbolałą duszę? Malujcie prawdziwie, śpiewajcie czysto, unikajcie tonów fałszywych, nie krępujcie się gdy przedmiot wart swobody i polotu natchnienia, a unikniecie ironicznych zarzutów, których wam dziś lada kto nie szczędzi. Tylko wtedy stajecie się poetami, inaczéj zaś jesteście mniéj lub więcéj zręcznymi rymotwórcami. Otoż zaprzeczyć trudno że ten wpływ szkodliwy, tę chorobliwość, ten sceptycyzm najgorszego gatunku, tę fanfaronadę z najświętszych zasad, to udane szyderstwo kokietujące publiczność—zawdzięczamy głównie i przedewszystkiem ubóstwieniu panującemu u nas Wiktora Hugo, Heinego, i Musseta. Każdy z nich i wszyscy razem, wytworzyli szkołę „naśladowców," dzisiaj podobniejszą już do stada aniżeli do szkoły. Między tymi zaś jeśliby wnikając głębiéj—podpodziały zaprowadzić było warto *Hugoniści* rozrodzili się najliczniéj — i to Hugoniści w poezyi i prozie—w liryce i romansie.

Poznać ich łatwo po niezwyczajnie napuszystéj formie. Wyrazy wydają się jak arlekini jaskrawi, chodzący na szczudłach, a więc wysoko; ale ponieważ chodzenie na szczudłach nie bardzo jest pewném, więc utykający co krok lub nawet padający plackiem o ziemię—czyli o brak logiki. Myśli choćby przerobionych nie wiele, a i te—ułożone paradoksalnie, na wzór genialnego mistrza. Gryząca niby ironia, która jest tutaj wcale nie wybrednym cynizmem, stanowi ostatnie znamię, lubo zapożyczone już u Heinego lub Musseta.

Na takim to wyrobku u obcych bogów, marnują się nasi najmłodsi poeci, którzy gdyby się zwrócili w innym kierunku, wniknęli w grunt swojski, z którego wyrośli, na którym wreszcie siać i zbierać winni — niezawodnieby większą chlubę dla siebie, większą pociechę dla społeczności przynieść mogli. Może jeszcze powrócimy do tego przedmiotu—teraz mówmy daléj o twórcy romantyzmu francuzkiego, który burząc daną formę, chiał i myśl przeobrazić — i nad nią rewolucyjny sztandar rozwiesić. Co prawda, burzenie to nie ma téj wagi co bajronizm — bo W. Hugo nie dręczyły zwątpienia filozoficzne; więcéj mu chodziło o wybudowanie nowego świata wyobraźni o potężnéj plastyce, i o wielce świetnym kolorycie. Jeden z najzręczniejszych naśladowców W. Hugo, Baudelaire, tak w téj mierze powiada: „W. Hugo był jakby wybranym na oddanie przez poezyę tego, co nazywam: *tajemnicą życia.* Natura otaczająca nas jak jaka tajemnica, przedstawia się duchowi naszemu jako forma, ruch i postawa, światło i barwa, dźwięk i harmonia. Muzyka wierszy W. Hugo, nadaje się do głębokich harmonij natury,—jako rzeźbiarz przelewa w stroiy niezapomnianą formą rzeczy, jako malarz oświeca ją właściwym ich kolorytem.... Wiersze W. Hugo dają nam wrażenia najulotniejsze, najzawilsze, najmoralniejsze... dają nam nietylko stronę zewnętrzną istoty,—ale i jéj fizyonomię, spojrzenie, smutek, słodycz, radość szaloną, nienawiść odpychającą, czar i wstręt; nakoniec dają nam wszystko *ludzkie tkwiące w czém bądź,* i wszystko bozkie, święte lub szatańskie." Z tych słów poznajemy, czego niewidziano w gienialności mistrza naówczas!... a i dziś jeszcze są między nami wielbiciele na ślepo, nie wnikający głębiéj w cel i zadanie utworu. Jeszcze do „Pracowników morza" łudzono się umyślnie, odtąd atoli i od „Człowieka śmiechu," zaczynano klasyfikować to co w W. Hugo jest pięknością plastyczną, a co jest fantazyowaniem, dziwaczeniem, mającém zaledwie wartość malowniczości. Słusznie sądzi jeden z krytyków tego poety, że ta zaleta iż jest „malarzem w poezyi" jest zarazem jego wadą. Siląc się bowiem zawsze na przedstawienie światła cieniom, (clair-obscur światłocień, i u nas w najnowszych czasach wszedł w modę) na malowanie obrazów, któreby odbijały jak płaskorzeźby, poświęca prawdę dla efektu, myśl dla kolorytu, jasność i prostotę dla perspektywicznéj wspaniałości i umyślnie *szukanéj* zawiłości. Mówimy tu głównie o jego romansach, chociaż da się to zastosować i do większéj części jego poezyj. Lecz jako reformatorowi dosyć chłodnéj aż dotąd poezyi, przebaczyć się da wiele. Sam tłómaczy się on z tego w przedmowie do swych „Od i Ballad" (1822) mówiąc: że „ruch Ody ograniczający się dotąd na słowach, trzeba, zastąpić ideą, barwy zużyte mitologii pogańskiéj zastąpić barwami nowemi teogonii chrześciańskiéj."... Szkoda tylko, że niezupełnie dotrzymał obietnicy, zastępując stare słowa nie ideami nowemi, ale słowami nowemi. Bądź co bądź,—wzbogacił język, *rozzuchwalił go,* a nimfą Egeryą była dlań w tym razie, literatura niemiecka i Szekspir. *(d. c. n*

RAMUŁTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 82*).

II

— Właśniem ci to miał powiedzieć — dodał żywo Sylwan.—Doktor kazał jéj pić wodę emską, przy wodach potrzebowała chodzić... Na publicznéj przechadzce gdziekolwiek bądź, wyszpiegowanoby ją i ścigano; zaproponowałem mój ogródek, ręcząc, że tu nikogo nie wpuszczę. Przychodzi ze starym suflerem; widuję ją tylko gdy furtkę otwieram. Na to com ci powiedział, daję najuroczystsze słowo honoru...

— Wierzyłbym na proste twe słowo—z ironicznym uśmiechem odezwał się Herman... Widzę tylko z tego, że jesteś *du dernier mieux* z tą śliczną Violą, żeś nawet o nią zazdrosny, i że mnie nie pozostaje nic nad pełne uszanowania wycofanie się przed panem starszym bratem...

To rzekłszy skłonił się Herman, smutnie

i kwaśno żegnając Sylwana, który go jeszcze raz pochwycił za rękę.

— Ani nawet jéj nie powiem żem poznał.— Słowo... bądź spokojny...

— Hermanie —słowo że o tém nie wspomnisz nikomu!

O! moralista! moralista! mruknął odchodząc...

Sylwan zadumany pozostał długo w progu, patrząc za odchodzącemi. Dobry jego uczynek względem brata, dziwnie mu się wypłacił! Los prawie zawsze, z tą ironią wywdzięcza ludziom poświęcenie i miłość.

III.

Działo się w świeżo najętym domu, w którym nowy lokator urządzał się zmęczony krzątaniną, ocierając pot z czoła.

Spojrzawszy nań każdy, najdobroduszniejszy nawet żydek, byłby od razu poznał wiejskiego obywatela, a dowcipniejszy domyśliłby się po pewnych znamionach że pochodził z Kongresówki. Obywatel wiejski ma w sobie zawsze, mimo pumeksu, którym z niego starą barwę zetrzeć się starają cywilizatorowie i reformatory — coś z tych królewiąt Szajnochy, którzy kilkaset lat panowali krajowi. Najpokorniejszy z nich zdradza, to że kiedyś był sam jeden wolny a drugim rozkazywał... Długie lata wykształciły typ, ruchy, mowę i obyczaje... Jest w nim coś średniowiecznego mimo fraka, coś rycerskiego mimo okularów, coś pańskiego mimo opuszczenia i zbrukania. Twarz, wzrok, głos, choć zdetronizowane, znać, że panowały niedawno... W naszym szlachcicu było nieco téj staréj buty, ale rozmiękłej pod wpływem sybarytyzmu... Mały, krągły, tłuściuchny, rumiany, mimo lat około pięćdziesięciu ubrany po młodemu i nie bez pretensyi do elegancyi a wdzięku, pan Aleksander Junosza, chodząc, przeglądał się niekiedy w zwierciadłach, włosy poprawiał, suknie pociągał, niespokojny był widocznie jak się tego dnia wydawać będzie. A wydawał się świeżo, może do zbytku różowo tylko, i choć zmęczony, chodził młodzieńczemi krokami, i gdyby nie zaokrąglenie, z daleka można go było wziąć za trzydziestoletniego kawalera. Był jednak wdowcem od dawna... a metryka świadczyła, iż zbliżał się do fatalnego kresu pięćdziesiątówki. Jeszcze go nie doścignął, ale już wzdychał nad okrucieństwem czasu, który zbiegł tak nielitościwie.

Około oczu występowały już zarysy zmarszczków, około ust częsty uśmiech popisał drogi którędy się ślizgał—na czole nie myśl ale znużenie pokreśliło pasy niepotrzebne... Wszystko to krasił rumieniec, a junacki wąsik podkręcony do góry, nastrzępiony był z młodzieńczą fantazyą. Ten pozór młodości i miły a przyjacielski charakter były przyczyną, że pana Aleksandra Junoszę do dziś dnia nazywano—Olesiem. Chodził pod tém imieniem... u znajomych i nieznajomych, pieszczotliwy przydomek stał za charakterystykę... Kochano Olesia, bo był dobrym koleżką do wszystkiego i nie pedant wcale, nikt go jednak nie brał na seryo. Sam z siebie majętny, Oleś ożeniwszy się ze starościanką M... nabył znaczniejszego jeszcze majątku, a po najdłuższém życiu pani starościnéj, teści swéj, miał nadzieję dla jedynaczki córki wielki otrzymać spadek. Panna Hanna miała już lat dwadzieścia, a była śliczna, dobrze wychowana, rozumna, i tylko—jak młodzież utrzymywała—trochę za poważna na swój wiek, za śmiała na swój stan... Obawiano się jéj, ale kochano z daleka... Ci co ją bliżéj znali, byli dla niéj z uwielbieniem. Właśnie troskliwa babka, pani starościna, pod pozorem poradzenia się o swe zdrowie, wyjechała była z Hanną za granicę, i tylko co się na parę miesięcy urządzadzano tu... posługując Olesiem, który wyglądał tylko kimby się sam mógł wyręczyć.

Z natury był kochany ów Oleś do pracy wszelkiéj przymusowéj niezdolny—nudziła go... Wesołe gronko, smaczne jadło, umiarkowany dobrego wina kieliszek, dobrane suche cygaro, dolce far niente na miękkim fotelu... najulubieńsze mu były. Książek nie czytywał, twierdząc, że z rozmowy o nich dostatecznie się dowiedzieć tego można; gazety rzadko, i z tych po obiedzie najwięcéj go bawiły—ogłoszenia. Czerpał z nich znakomitą w swym rodzaju erudycyę.

W téj chwili oczekiwał pan Aleksander na—przyjaciela... Pokładał on w nim nadzieję, iż go od wielu kłopotów uwolni. Przyjaciel ten nie jednego Olesia był druhem, ale można powiedzieć całéj szlachty zamożnéj, z któréj pochodził i do któréj należał; nie jednemu jemu, lecz mnogim znajomym niezmiernie był użyteczny. Znano pana Maryana Dołęgę jako najprzyjemniejszego z towarzyszów. On urządzał obiady, on gospodarzył na piknikach, pośredniczył w kupnach i sprzedażach, posłował przy pojedynkach, zagadzał zwaśnionych, a co najlepiéj umiał — to dysponować uczty i eleganckiego ich wykonania dopilnować. Zagadkową rzeczą była egzystencya pana Maryana od czasu jak, w młodości jeszcze utracił wioskę dziedziczną i znalazł się na świecie własnym zostawiony siłom. *Help your self*, nie istniało jeszcze; odgadł je genialny Dołęga. Pozostało jego tajemnicą, w jaki sposób tego dokonał, to pewna że nie mając nic i nic nie robiąc, ubierał się pańsko, pieniędzy miał zawsze dosyć, stawał w najlepszych hotelach, zjadał najdroższe obiady, a książąt i hrabiów po imieniu nazywał, będąc z niemi na stopie zupełnéj równości. Sumienie dodać każe iż sposób jego myślenia i zasady zupełnie usprawiedliwiały zaszczyty jakiemi go okrywano: był bowiem ultra-konserwatystą, namiętnym przyjacielem porządku, legitymistą... mówił ślicznie po francuzku. Na żadnym liberalizmie poszlakowany nie był. Władzę wszelką szanował, i—daleko wprzód nim go genialny mąż stanu sformułował— odgadł ten aksyomat potężny iż siła idzie przed prawem... Wesoło więc spływało mu życie, bo go w najlepszych towarzystwach przyjmowano, *à bras ouverts*, i miano za człowieka pewnego nie wahając mu się w najdelikatniejszych powierzać sprawach.

Starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni zarówno się w nim kochali... Tańcował z młodémi, grał w karty ze starszymi, z pobożnymi chodził na kazania, z innymi na teatr... ułatwiał przyjemne znajomości, sklejał małżeństwa, w potrzebie pomagał do rozwodów; słowem był to prawdziwy *homme à tout faire*. Dla Olesia, z którym go dawna talerzowa przyjaźń łączyła—miał ten cenny niezmiernie przymiot, iż znał się na jadle i wiedział gdzie co dobrego można dostać.

Pan Maryan Dołęga wyglądał dosyć młodo, choć także czterdzieści lat już przeżył na tym bożym świecie, i włosy, mimo różnych wyśmienitych kosmetyków silnie mu już siwiały, twarz miał rumianą, oczy także jakby od pracy zaczerwienione, usta szerokie, pełne dobroci i wesela. Należało do jego attrybucyi być zawsze w dobrym humorze, ten z sobą wszędzie przynosić, tak samo jak wszystko wiedzieć i znać wszystkich

Silnie zbudowany, ramion szerokich, piersi wydatnych, postawy wojskowéj (chociaż nigdy munduru żadnego nie kładł). zawsze ubrany starannie, pan Maryan choć nigdy passyi żadnéj nie obudził, między przywiędłemi paniami miał wiele dobrych przyjaciołek; nikt jednak nie mógł wytknąć palcem osoby, któraby swą przyjaźnią skompromitował. Para szczęśliwych pojedynków postawiła go też dobrze, jako człowieka odważnego i na swój honor bacznego.

Posłyszawszy za progiem chód przyjaciela wezwanego ku pomocy, Oleś aż do drzwi wybiegł przeciwko niemu... Uścisnęli się czule i ucałowali.

— No, cóż? zawołał przybyły, jakże ci po wczorajszém?

(Tém „wczorajszém" była właśnie wieczerza pana Hermana).

— A no! nic! rzeźwo mi i dobrze, miary nie przebrałem... jedliśmy rzeczy zdrowe, wino było wyborne... Zabawiliśmy się wyśmienicie.

— Bom to ja wybierał i urządzał, duszo moja! rozśmiał się Dołęga — a już ty mnie znasz że gdzie się ja wdam, tam źle być nie może.

— Ty jesteś jedyny! powtarzając uścisk rzekł Oleś.—Siadajże proszę, oto masz cygarko—mamy z sobą wiele do pomówienia.

— Służę ci—siadając i wyciągając się w fotelu odparł Maryan.

— Wczoraj mnie w restauracyi, mówił Oleś śmiejąc się—formalnieście skonfiskowali. Ja, jak wiesz, tego Hermana Ramułta nie znałem; pochwyciliście, kazali, musiałem służyć, jeść, pić, śmiać się, ale teraz gdy mu wizytę zrobić wypada, gdy on nie chybnie mi ją odda... młody człowiek, u mnie w domu córka,—radbym też przecię wiedział co zacz? Nazwisko mi bardzo znane!

— Zmiłuj się! śmiejąc się ciągle, bo śmiech był akompaniamentem koniecznym jego rozmów, zawołał Dołęga:—zmiłuj się—Ramułta ojciec mieszkał w waszém sąsiedztwie...

— W naszém sąsiedztwie? spytał Oleś bijąc się wczoło. No, tak! był u nas Ramułt, ale czyż ten? czy ojciec tego? Nasz, Wojciech Ramułt, ożeniony z Pawęzką, człowiek niemajętny, jedna wioszczyna... miał córkę i syna — obojga mi aż nadto dobrze znanych. Żona mu zmarła, z nim nie wiem co się stało; po śmierci jéj desperując strasznie, wyjechał i—znikł. Dzieci się przy siostrze chowały...

— No, to ja ci reszty dopowiem—począł zapalając cygaro Dołęga. Ten sam Wojciech Ramułt... z wielkiéj desperacyi pojechał do wód w Galicyi, tam gdzieś poznał mejętną wdowę, hr. Borzechowską, ożenił się z nią, Pan Bóg mu dał syna wkrótce... a Ramułtowi się zmarło... Syna tego, z hrabiowskim tytułem,który matka sobie i jemu nabyła — poznałeś wczoraj.

— A więc to przyrodni brat...

— Tak! przyrodni brat pani Lelii z Ramułtów Matuskiéj i pana Sylwana Ramułta...

— Cóż u licha za komplikacya niespodziana! podchwycił Oleś. Bo trzeba, żebyś wiedział—albo... no, o tém potém.

— Nie, nie, trzeba żebym wiedział o wszystkiém — rzekł Dołęga; gadaj co masz mówić, zaraz.

— Dla ciebie nie mam tajemnic, wiem, żeś człowiek dyskretny—począł Oleś jakoś smutnie... Tych Ramułtów urodzonych z Pawęzkiéj, miałem u ich cioci pod bokiem. Lelia, która potém wyszła za Matuskiego i owdowiała—śliczna i miła kobiecina... Znasz ją.

— Doskonale! bardzo miła—rzekł Dołęga... a pomimo to do téj pory wdową jest jeszcze...

— Przyznam ci się, że mam do niéj słabość.. rozśmiał się Oleś — takiego cóś ma *aga sujęcego* taka dowcipna, taka żywa, taka...

— A! ty—stary bałamucie! jesteś gotów...

— Ts! cicho! uchowaj Boże kto posłyszy? daj pokój, nie o nią idzie...

— A o kogoż?

— O brata jéj... tu—sęk... Ten pan Sylwan wychowywał się niemal przy mojéj Hannie, bo to było sąsiedztwo o ćwierć mili. Dzieci z sobą były ciągle... prawie codzień my u nich, oni u nas, zwyczajnie na wsi, gdzie o ludzi trudno... Otoż (tu głos zniżył Oleś) mam obawę, żeby Hanna moja nie powzięła dla niego trochę sentymentu... bo że on się w niéj szalenie kochał— to pewna. Starałem się tylko zawczasu mu dać do zrozumienia, że z tych wzdychań nic być nie może i — pozbyłem się go. Hanna będzie miała fortunę co się zowie pańską po starościnéj i po mnie... a to ubogi szlachciura i do tego głowa przewrócona, demokrata, liberał... czerwony...

Wystawże sobie, dowiaduję się że on tu po 1864 r. osiadł, i zajmuje się jako inżynier przy jakichś fabrykach czy kolejach...

Jakże oni są z sobą ci bracia przyrodni? bo wczoraj go na wieczerzy, chwała Bogu, nie było.

Dołęga głową trząsł w czasie opowiadania. *(d. c. n.)*

KORESPONDENCYA.

Londyn w końcu Września.

W pierwszym liście prosiłem was łaskawi czytelnicy, o uwzględnienie usterek stylu i języka moich korespondencyj. Obecnie proszę o przebaczenie za długą zwłokę w przysłaniu drugiego listu. Ale nie moja wina. Zły stan mego zdrowia był tego powodem. Kazano mi się wstrzymać od wszelkich zajęć i jechać do kąpieli morskich.

Pojechałem do Yarmouthu. Miasteczko to, jak wam wiadomo, leży nad brzegiem morza Niemieckiego w hrabstwie (county) Norfolk. Znane w Anglii szczególniéj ze —śledzi, które rzeczywiście są doskonałe, i w Londynie sprzedają się pod nazwiskiem *„Yarmouth bloaters."* Lecz nie same tylko śledzie zachęciły mnie do wybrania Yarmouth (bo ich tam w lecie dostać nie można); chciałem osobiście zwiedzić okolice, które w wielkiéj części były widownią zdarzeń opisanych w ulubionéj przez samego autora powieści p. n. *David Copperfield*, Karola Dickensa. Któż nie pamięta pp. Pegotty, Barkis i Micawber, Emili i Steerforth'a, burzy morskiéj, w czasie któréj Pegotty młodszy utonął, chcąc ocalić życie uwodzicielowi swéj kochanki i samemu Dawidowi Copperfield'owi, w którym, jak się teraz pokazało z życiorysu Dickens'a przez p. Forstera, przedstawił autor samego siebie. Muszę tutaj nawiasowo dodać, że Dickens przy genialnéj potędze powieściopisarskiéj był także znakomitym artystą dramatycznym i deklamatorem. Na krótki czas przed swoją śmiercią, po miastach Anglii i Stanów Zjednoczonych urządzał publiczne posiedzenia, na których czytał ustępy ze swoich powieści; czytanie to było prawdziwie mistrzowskie. „Smutki, zmartwienia i przykrości, jakie opisałem w moich książkach, mówił Dickens, sam przeszedłem i wycierpiałem. Po ukończeniu opisu śmierci młodego Dombey'a tak byłem wzruszony, że przez całą noc błąkałem się po ulicach Paryża, nie wiedząc gdzie jestem i co robię."



Podróżny. Rysunek Br. Kamińskiego.

O miasteczku Yarmouth nic wam donieść nie mogę, prócz tego, że jak wszystkie stare miasta ma ciasne ulice, które jednakże bardzo czysto są utrzymywane. Cudowny za to widok morza. Jak oko zasięgnąć może, widać tylko wodę zieloną, która w końcu zdaje się nieba dotykać; widok ten urozmaicają żagle statków i dymy parowców płynących w odległości. Morze tutaj nigdy nie jest spokojne, bałwany ciągle rozbijają się o brzegi, wydając odgłos, którego niepodobna opisać: jest w nim coś ponuro smutnego, ale także i muzykalnego. Przypływ morza także sprawia pewne wrażenie. Widzisz w odległości zbliżające się ogromne wały wody, które w każdéj chwili zdaje się że zatopią ziemię; tymczasem przybliżywszy się do brzegu z hukiem i trzaskiem rozbijają się w strzępy. *Galary* kąpielne, czyli jak tu mówią *machiny do kąpieli* (*the bathing machines*), są to po prostu kryte wozy, które wtaczają albo wytaczają z morza stosownie do jego przypływu albo odpływu. Wozy te służą tylko do rozbierania i ubierania się, kąpiący schodzi z nich po kilku schodkach od razu do wody, i jeśli umie to może pływać, gdzie mu się tylko podoba, jeśli zaś nie, to musi pozostać w bliskości wozu, aby gruntu nie stracić. K ą p i e l e morskie, szczególniéj dla umiejących p ł y w a ć, to rozkosz nie do opisania. Gdy się bowiem położysz na wznak, same bałwany cię unoszą i kołyszesz się jak w kolebce. Trzeba jednakże być ostrożnym i trzymać się w pewnéj odległości od brzegu, gdyż jednym zamachem bałwany wyrzucą cię na piasek. Taką właśnie niespodziankę miał w a s z korespondent w trzecim dniu kąpieli; wypiwszy około półkwaterka wody morskiéj. Krztusząc się i kaszląc okropnie, wylądowałem na brzeg jak drugi Robinson Krusoe, z tą tylko różnicą, że w pośród śmiechu i żartów obecnych: „A czy woda morska s m a c z n a?" „Ba, i jak jeszcze!" Brrr... Wyobraźcie sobie mieszaninę składającą się z octu, pieprzu tureckiego, soli, terpentyny i oleju. Kto odważny niech s p r ó b u j e; aż mróz mnie przechodzi, gdy sobie to wspomnę. Czasami kąpiący się najmują łódkę, i odpłynąwszy dwie albo trzy wiorsty od brzegu, skaczą z niéj do wody. Tak i ja lubię robić, gdyż im woda głębsza, tém łatwiéj pływać. K ą p i e l e dla mężczyzn są w odległości w i o r s t y od miejsca wyznaczonego d l a kobiet. Mają one takie same budy na kołach; kobiety jednak kąpią się w grubych wełnianych koszulach. Dlaczego grube i wełniane, tego nie wiem, chyba że ich jak innych niedorzeczności używać każe moda. W takich koszulach niepodobna uczyć damy pływać; przesiąkłszy wodą ważą one najmniéj o kilkanaście funtów więcéj. Brzegi morskie stanowią tu ogromne piaski. Piaski te w porze letniéj od rana do nocy pokryte są mnóstwem turystów, którzy przybywają w celu polepszenia zdrowia, odpoczynku lub zabawy. Pełno życia i gwaru.... Kramarze na stołach i stolikach powystawiali

rozmaite drobiazgi galanteryjne, muszle morskie, owoce, ciastka i t. d.; chłopcy roznoszą książki, gazety i inne pisma peryodyczne; właściciele łódek i małych statków żaglowych zapraszają na przejażdżkę po morzu; są pojazdy, konie i osły do najęcia; dla dzieci małe wózki zaprzężone kozami i t. d. Brzeg morza najciekawszy w południe, kiedy wszyscy po kąpieli używają przechadzki. Piękne angielskie *miss'y*, blondynki z niebieskiemi oczami, po odbyciu kąpieli spacerują także po piasku z włosami rozpuszczonemi, aby wyschły na słońcu, każda z nich z małym pakietem w ręku. Zauważyłem, że damy tutaj przed kąpielą mają ogromne pukle, loki i warkocze; po kąpieli zaś włosy ich najmniéj o połowę widocznie są zmniejszone. Wątpię, aby woda morska była tego przyczyną...

Wspomniawszy w poprzednim liście o urzędnikach angielskich, mniemam, że nie będzie od rzeczy, gdy powiem choć w krótkości o systemacie ich uposażenia, przerogatywach i t. d. We wszystkich biurach rządowych urzędnicy zwani ogólném mianem „*clerk*," dzielą się na 2 a najwięcéj na 3 klassy, nie licząc w to naczelników. Prawie do wszystkich mniejszych posad rządowych jest obecnie otwarty dostęp dla wszystkich obywateli bez wyjątku. Kandydaci do nich obowiązani są złożyć świadectwo co do wieku i moralnego prowadzenia. Po 25 latach wieku posady rządowéj dostać nie można. Oprócz tego kandydat musi złożyć egzamin publiczny przed komitetem egzaminacyjnym z przedmiotów mających związek z atrybucyami biura, do którego chce wejść. Złożywszy wymagany egzamin, zostaje nominowany na *clerca* klassy 3éj z płacą przypuśćmy np. 100 funt., z podwyżką coroczną po 5 albo 10 funt., aż dojdzie dajmy na to do 200 funt., co stanowi płacę początkową clerka klassy 2-éj. Clerk klassy 2-éj pobiera płacę z podwyżką coroczną po 10 albo 15 funt., aż dojdzie przypuśćmy do 300 funtów, płacy początkowéj clerka klassy 1-éj. Clerk klassy 1-éj pobiera płacę z podwyżką coroczną po 15 albo 20 funt., aż znowu dojdzie do pewnego maximum. Aplikantów bezpłatnych nie ma. Naczelnicy wydziałów mają płace stałe bez żadnych podwyższek. Oprócz tego wszyscy urzędnicy mają ferye coroczne od 4 do 8 tygodni, stosownie do stopnia; im starszy tém dłuższe. Ferye w ogólności każdy mieć może jak i kiedy mu się podoba: albo po dniu, albo po tygodniu, albo od razu całkowite. Na emeryturę skarb nic nie odtrąca, nie ma jéj też ani dla wdów, ani dla sierot po urzędnikach. Do emerytury nie ma prawa żaden z urzędników, który nie wysłużył najmniéj 12-u lat. Po 12-u latach ma prawo do emerytury w stosunku $^{12}/_{60}$ części płacy rocznéj, po 13 latach do $^{13}/_{60}$ części i t. d. aż do lat 40. Po upływie tego czasu dostaje $^{2}/_{3}$ rocznie do końca życia. Naczelnicy wydziałów i urzędnicy wyżsi dostają w ogóle całą pensyę po wysłużeniu lat przepisanych. Z organizacyi téj tak tu są wszyscy urzędnicy zadowoleni, jak wszyscy Anglicy z wyroku w sprawie Alabamy, który niewątpliwie tak położy raz na zawsze koniec nieporozumieniom w tym przedmiocie ze Stanami Zjednoczonemi północnéj Ameryki, jak rzeczona organizacya położyła tamę wszelkiéj arbitralności zwierzchników względem podwładnych. Prawda ciężką mamy (przepraszam: mają Anglicy) zapłacić karę za tak nazwane niedbalstwo rządu angielskiego, lecz dzięki elastyczności funduszów angielskich zapłacimy t. j. zapłacą ją bez wielkich trudności; w Anglii bowiem przychód skarbu przewyższa rozchód o całe miliony. Złota i srebra tutaj nie brak. Wszędzie płacą monetą brzęczącą; odbierając płacę prosimy kassyerów o wypłatę biletami bankowemi jakby o największą łaskę, bo złoto zbyt ciężkie.



Góra Horund-Inderne w Norwegii.

W Londynie obecnie panuje cisza. Anglicy porozjeżdżali się na wakacye: niektórzy na wieś w celu polowania i rybołówstwa; inni do kąpieli morskich dla odpoczynku lub polepszenia zdrowia; inni do innych miejsc, stosownie do smaku i okoliczności domowych i finansowych, inni znowu aż za morze, jak np. niedawno kilkunastu zapalonych myśliwców do Stanów Zjednoczonych północnéj Ameryki na dzikie bawoły a podobno i na czerwono-skórych bliźnich. Wiadomo wam, że New-York połączony z San-Francisco koleją żelazną oceanu Spokojnego. Koléj ta przecina ogromne pola i lasy zamieszkane przez Indyan i dzikie zwierzęta. Pomiędzy temi ostatniemi bawoły stanowią ogromną większość. Doskonała zatém jest tam sposobność dla myśliwców do polowania. Polowanie to jednakże jest połączone z wielkiém niebezpieczeństwem tak z powodu Indyan, którzy skoro się im tylko sposobność nastręczy, mordują bez wyjątku wszystkich Europejczyków, tak też i z powodu bawołów, które zwykle pasą się stadami składającemi się z kilkuset sztuk. Stada te galopują czasami przez pola tratując wszystko, co napotkają po drodze. Biada zatém myśliwcom, którzy się spotkają z taką galopującą gromadką na otwartém polu; ani wystrzały, ani krzyki, słowem nic nie wstrzyma jéj pędu, wali się ona jak zaspa śniegowa w Alpach, niszcząc wszystko przed sobą. Co się tycze samych Indyan, budowa kolei żelaznéj z New-Yorku do San-Francisko połączona jest ze zdarzeniem, które stanowi smutny epizod w historyi naszéj cywilizacyi. Gdy nastąpiła niwellacya gruntów w celu położenia szyn, Indyanie mieszkający w pobliżu udali się najprzód ze skargą do rządu Stanów Zjednoczonych, mówiąc że koléj przeszkodzi im polować na bawoły i tym sposobem pozbawi ich sposobu do życia i t. d. Za te straty wyznaczono im różne nagrody, pomiędzy któremi arak i dżin największe zajmowały miejsce; piją albowiem okropnie, i to też ich prędko zabija. O pracy, osiedleniu, hodowaniu bydła i uprawie ziemi ani mają ani też chcą mieć najmniejszego wyobrażenia. Praca u nich jest w takiéj saméj pogardzie, w jakiéj wszelkie bezprawia są pomiędzy uczciwymi ludźmi. Zatrudnieniem godném indyjskiego *gentlemana* jest polowanie, bójka, grabież i pijaństwo. Późniéj gdy droga postąpiła kilkadziesiąt mil w głąb kraju po za obręb cywilizacyi amerykańskiéj, udali się znowu ze skargami do przedsiębierców drogi, ale już z silniejszemi argumentami, i wprost domagali się wynagrodzenia za tak nazwane straty. Chcąc uniknąć kłótni i wojny, użyto znowu systemu prezentów; dano im znaczną liczbę krów i owiec, pokazano jakim sposobem chować trzody, aby mieć z nich pożytek. Wszystko na nic, trzody natychmiast powybijali i zjedli, a im więcéj im dawano, tém więcéj żądali. Przyszło nareszcie do tego, że Indyanie zaczęli drogę psuć a robotników zabijać, i tym ostatnim, stosownie do swego zwyczaju, skóry z głów obdzierać. Amerykanie do wściekłości przyprowadzeni, postanowili raz na zawsze położyć koniec tym zbrodniom. Utworzono tak zwane *lekkie kolumny* (the flying columns), składające się z oddziału konnicy i odpowiedniéj liczby piechoty. Kolumny te maszerowały wzdłuż całéj linii kolei żelaznéj tam i napowrót i gdzie tylko spotkały Indyan,

wszystkich bez żadnego wyjątku zabijały. Od chwili wprowadzenia w wykonanie tego haniebnego i barbarzyńskiego, ale jedynego środka, wszystkie przeszkody ze strony Indyan ustały. Następnie zakazano Indyanom pod karą śmierci zbliżać się do linii kolei żelaznéj na pewną oznaczoną odległość.

Od tych paryasów z położenia, przechodzę do kraju paryasów z nazwiska, dokąd także udają się tutejsi myśliwi. Według raportu urzędowego zabito w południowéj części Indyi Wschodnich, w ciągu pierwszéj połowy bieżącego roku, 1,404 sztuk drapieżnych zwierząt, mianowicie: 194 tygrysów (pomiędzy temi było 6 *man eaters* to jest tygrysów, które raz skosztowawszy ciała ludzkiego, później nic innego nie jadają), 464 panter, 256 niedźwiedzi, 254 wilków i 236 hyen. Nagrody za tępienie tych zwierząt kosztowały rząd 12,596 rupij. Straty, jakie mieszkańcy w Indyach Wschodnich ponoszą od tygrysów, są ogromne; niszczą one bydło, a co gorsza bardzo często pożerają ludzi. W Kouamie do tego stopnia doszło niebezpieczeństwo, że przerażeni mieszkańcy zmuszeni byli opuścić wioskę i przenieść się w inne okolice. Niektóre gazety tutejsze zachęcają więc myśliwców angielskich do udania się tam na polowanie na tygrysy. Czy się wielu amatorów znajdzie—wątpię; albowiem klimat w miejscach zamieszkanych przez tygrysów jest bardzo niezdrowy dla Europejczyków.

A teraz od dzikich zwierząt przeskakuję do literatury i to Afrykańsko-angielskiéj.

Wiliam Colenso, biskup Natalu, prowincyi angielskiéj w południowéj Afryce, wydał niedawno ósmy i ostatni tom swego ogromnego dzieła p. n. *The Pentateuch and the Book of Joshua critically examined* (Pięcioksiąg Mojżesza i księga Jozuego, krytycznie rozebrane). Biskup należy do szkoły Straussa i Renana, i nie wierzy w cuda. Dzieło to wywarło ogromne wrażenie na umysły Anglików, a czytały je miliony. Krytycy i recenzenci książki biskupa Colensa najwięcéj przyczynili się do jéj rozpowszechnienia, zapomniawszy się trochę nazwali biskupa kacerzem, narzędziem dyabelskiém i synem szatana i mówili, że dzieło to niewarte czytania. Tymczasem im więcéj przeciwko biskupowi pisali, tém więcéj publiczność dopytywała się o jego dzieła. Obecnie biskup zajęty jest krytycznym rozbiorem Nowego Testamentu. Sądzę że godzina kościoła anglikańskiego jako rządowego i przez rząd utrzymywanego, już wybiła. Jak wiadomo, przywiléj ten zniesiony jest już w Irlandyi, a wkrótce i tutaj go zniosą; w tym celu odbywają się tu odpowiednie meetingi.

Inną nowością piśmienniczą ma nas obdarzyć p. Stanley który wynalazł d-ra Liwingstone'a w Afryce. Ma on wydać w Listopadzie opis swojéj podróży. Książki téj oczekujemy z niecierpliwością, tém bardziéj, iż spodziewamy się, że nieporozumienia jakie istnieją pomiędzy d-rem Liwingstonem a Towarzystwem geograficznem londyńskiém, zostaną w niéj wyjaśnione. Zapewne już posiadacie Album muzeum brytańskiego? Pozwólcie jednak powiedzieć o niém kilka słów, bo to moje bożyszcze. Jeden z największych zakładów naukowych publicznych w Anglii a może i w całym świecie, składa się z ogromnéj biblioteki, gabinetu zoologicznego, gabinetów starożytności rzymskich, greckich, egipckich i t. p. P. S. Thompson, artysta fotograf, wydał niedawno zbiór fotografii z samych najrzadszych i najciekawszych przedmiotów tego muzeum. Pierwsza serya w 7-u częściach składa się z tysiąca przeszło fotografij. Do każdéj części dodany jest katalog, ułożony przez urzędników muzeum, a całe dzieło poprzedzone jest przedmową p. C. Harrisona, Prenumeraty na to całe dzieło nie ma; można je nabywać częściami, albo nawet po jednym fotogramie za cenę 2 szyllingów. Tym sposobem skarby muzeum brytańskiego są dzisiaj przystępne dla wszystkich; można je studyować nie mieszkając w Londynie. Zaiste wielkie i nauczające jest to studyum. Ułożywszy fotografie, o ile na to okoliczności pozwalają, chronologicznie, widzimy w nich stan cywilizacyi w różnych epokach i postęp jaki ludzkość uczyniła.

Pierwsze 157 fotografij przedstawiają narzędzia, broń i tym podobne przedhistoryczne przedmioty w ogólności. Około 160 fotografij zajmuje rzeźba, malarstwo i architektura egipcka, 250 starożytności assyryjskie, blizko 190 fotografij sztuki piękne greckie, przeszło 100 z Etruryi i Rzymu, 50 starożytności angielskich wieków średnich i 100 pieczęcie królów, giełd, miast, towarzystw i t. d. Wszystkie fotografie wykonane są po mistrzowsku.

Jeszcze jeden szczegół charakteryzujący naród angielski. Według sprawozdania urzędowego pokazuje się, że w roku zeszłym 913,000,000 listów przeszło przez tutejszą pocztę, nieliczac w to korespondencyi rządowéj. Pomiędzy temi 15,000 listów było wrzuconych do skrzynek bez żadnego adresu lub jakiejkolwiek wskazówki w samym liście; niektóre z tych listów zawierały bilety bankowe znacznéj nawet wartości, w jednym było 1,500 funtów sterlingów. W wielu znowu pakietach także bez adresu poznajdowano zegarki, łańcuszki złote, pierścionki, kolczyki i inne kosztowności. Wszystko to zarząd pocztowy zwraca przesyłającym za udowodnieniem własności; inne po upływie pewnego czasu zostają sprzedane przez licytacyę na korzyść skarbu. Pomiędzy rozmaitościami przesyłanemi przez pocztę zasługują na uwagę żywe białe myszy, jaszczurki, żółwie, a nawet i wąż, prześliczny *cobra di capella* z Indyj Wschodnich do tego stopnia jadowity, że po ukąszeniu śmierć następuje, na taki jad jeszcze nie wynaleziono lekarstwa. Tego ostatniego poczta z początku nie chciała przyjąć; na usilne jednakże prośby przyjęła na ryzyko przesyłającego, a jak ja myślę, na ryzyko tych, którzy tę skrzyneczkę mieli pod strażą.

Ogromna drożyzna węgle: o 50% poszły w górę, a wszystkie inne potrzeby od 20 do 30%. Zima się zbliża, a z nią bieda i nędza. Tymczasem bogactwo krajowe znacznie się powiększyło a klassa tak nazwana robocza posiada w kassach oszczędności przeszło 40,000,000 funt. szterling. będzie się więc miała czém ratować. Ale inni?..

BIBLIOGRAFIA.

Pisma Kazimierza Brodzińskiego. Wydanie J. I. Kraszewskiego. Poznań 1872.

Surowém zrządzeniem losu pozbawieniśmy zostali największych świateł naukowych i literackich; szereg mogił wzniósł się niemal jednocześnie nad ludźmi, którzy przez pół wieku przewodniczyli nam wzniosłą myślą i wielką miłością. Następcy ich dzisiejsi, cokolwiek o nich powie historya oświaty, jakiekolwiek zasługi położyć jeszcze mogą w przyszłości, sądząc po dzisiejszemu, są tylko epigonami owych wielkich i znakomitych. W takim stanie rzeczy wydawnictwa zbiorowe pisarzy celniejszych niedawno zgasłéj przeszłości były nietylko pomysłem szczęśliwym, ale i potrzebą konieczną. Skoro zaś tak, tedy po Mickiewiczu, Krasińskim, Słowackim, pójść naturalnie musieli: Kondratowicz, Korzeniowski, z żyjących Kraszewski, a wreszcie z najstarszych odrodzicieli piśmiennictwa Brodziński.

Serdeczny Franciszek Karpiński już w wieku XVIII jakby przeczuciem zwracał się ku słońcu odrodzenia literatury krajowéj, wyjałowiałéj na niewdzięcznéj roli klassycyzmu francuzkiego; w sercu ludu, w teraźniejszości, w przeszłości narodu szukał wątku do pieśni, nie znajdując go między bóztwami Olimpu. Kazimierz Brodziński, stojący na saméj granicy tego, co wówczas nazywano klassycznością i romantycznością, a co dziś zrozumialéj nazwać można niewolniczém naśladownictwem i śmiałą oryginalnością, już z zupełném przeświadczeniem, z wyrozumowaném postanowieniem otwierał podwoje epoki nowéj piśmiennictwa — epoki geniuszów. Jego rozprawy O klassyczności i romantyczności, O dążeniu literatury polskiéj, Listy o literaturze, ocenienia krytyczne pisarzy dawnych i współczesnych, uwagi estetyczne treści ogólnéj, dowodnie wskazują, że autor „Wiesława" dobrze wiedział gdzie zmierza i jakie osiągnie wypadki. Wrodzona łagodność charakteru, przystojne uczonemu mężowi umiarkowanie, nie pozwalały mu rzucać się z całą natarczywością na klassycyzm, nie zasłaniały przed nim strony pożytecznéj klassyków, poprawności mowy, wyrobienia wiersza i wytrawności; niemniéj przeto Brodziński był pierwszym u nas romantykiem wojującym, kiedy Karpiński tylko przeczuwał i marzył może o przyszłych bojach. Jego utwory sielskie, tchnące życiem prawdziwém naszego ludu, które następnie tak szczęśliwie miał po nim odwzorować Lenartowicz, wyprzedziły Mickiewicza i cały romantyczny zakon rycerski. Gdyby nawet nie wysoka, przez czas nieuszczerbiona wartość poetyczna tych utworów, już sama ta okoliczność przodkowania w dziele wielkiego przewrotu umysłowego, powinnaby zachęcać do bliższego poznania się z Brodzińskim.

Nie małą ku temu przeszkodą był dotychczas brak choćby cokolwiek znośnego wydania pism naszego Kazimierza z Królówki. Edycya z roku 1821 zawiera ledwo niewielką cząstkę jego utworów; edycya rozpoczęta w roku 1829, urwała się na pierwszym tomie; najzupełniejsza zaś dziesięciotomowa edycya wileńska 1842-1844 r. nie wytrzymuje najsłabszéj krytyki. Nietylko klassyczna pod każdym względem szkaradnego odbicia i nieprzebranych błędów drukarnia T. Glücksberga, ale i kierujący wydawnictwem D. Chodźko postarał się to wydanie zrobić nieznośném. Z rękopismów albo mało albo też prawie nic nie korzystano, z druków rozrzuconych po czasopismach znaczną liczbę pominięto, niektóre rzeczy ze zmianą tylko tytułu po dwa razy wydrukowano it.p. Zatém potrzeba wydania kompletnego i poprawnego pism Brodzińskiego była nie zaprzeczona.

Wziął na siebie tę pracę pożyteczną niezmordowany J. I. Kraszewski. Tom pierwszy wydawnictwa, zawierający poezye oryginalne, naśladowane i tłómaczone z rozmaitych języków słowiańskich lub innych, już mamy w Warszawie. Czcigodny wydawca, jak sam powiada w przedmowie, nader wiele korzystał z krzątaniny przygotowawczéj zmarłego niedawno Franciszka Dmochowskiego, który w ostatnich kilku latach życia z gorączkową pilnością zbierał gdzie mógł wszystko odnoszące się do zawodu pisarskiego i w ogóle pracy publicznéj Brodzińskiego. Zgromadzone przezeń materyały, zwłaszcza zaś rękopisma autora „Wiesława", stały się nieoszacowa-

nym nabytkiem dla wydawnictwa pod ręką tak wprawną i pracowitą jak ta, która trzymała pióro piszące „Historyę Wilna" lub „Ikonothekę." Przybyła tu pewna liczba utworów opuszczonych w wydaniu wileńskiém; inne z poprawniejszego tekstu ogłoszono z waryantami ciekawemi dla ludzi umiejących wglądać w sekreta twórczości artystycznéj; inne wreszcie ze świadomością celu przeniesiono do ostatniego tomu szóstego. W dalszych tomach mamy też znaleźć rzeczy dotychczas w druku nieznane, między innemi kurs literatury wykładany w uniwersytecie warszawskim. Obfitość a i nowość pożywnéj treści, wydanie wcale niedrogie, nader poprawne, papier dobry, druk piękny wzorowego zakładu typograficznego Kraszewskiego, odstąpionego dziś komu innemu i przeniesionego do Poznania, ale zachowującego firmę poprzednią,— wszystko razem powinno temu wydawnictwu torować drogę do upowszechnienia w kraju. Nie wątpimy, iż wziętość zasłużona go nie minie.

Vie de Copernic et histoire de la découverte du systeme du monde, par Camille Flammarion. Paris, 1872.

Poruszona u nas myśl obchodu 400-letniéj rocznicy urodzin genialnego twórcy astronomii nowéj, przypomniała i obcym tę dziejową w nauce postać. W dziełku bardzo dostępnie napisaném p. Flammarion, którego miły sposób pisania jest już powszechnie znany, założył sobie publiczność francuzką zapoznać z życiem i zasługami Kopernika. Opiera się tu głównie na Czyńskim i Śniadeckim, stawia dowody jego pochodzenia polskiego, rozbiera jego pracę, opisuje prześladowania, jakich doznawał za życia i po śmierci. Gdy często w historyi nauki robią z Kopernika postać legendową, Flammarion przedstawia go tu z krwi i kości jako człowieka istotnego, śledzi drogi, któremi szedł jego umysł, przytacza do wody jego na uzasadnienie obrotu ziemi. Szczegółowo opisuje historyą pomnika Kopernika w Warszawie, który stawiało jedynie Towarzystwo Przyjaciół Nauk przy pomocy narodu, przechodzi przeszkody, z jakiemi Towarzystwo walczyć musiało, opowiada o niedoszłém nabożeństwie u S. Krzyża, gdy księża tameczni odmówili odprawienia mszy uroczystéj wdniu odkrycia pomnika już po zebraniu się w kościele członków towarzystwa i licznych tłumów ludności. Szczegóły te wyjęte są zapewne z pamiętników Niemcewicza.

Szkoda tylko, że część czysto naukowa za nadto jest pobieżnie traktowana; dokładniejsze przedstawienie rozumowań Kopernika nie małoby wartości książce dodało. W przypisach znajdujemy kilka wyjątków z dzieła Kopernikowego i historyę jego wydań.

Całemu dziełu dodaje uroku ożywienie, z jakiém autor wykład swój prowadzi i tło historyczne na którém go opiera.

Góra Horund-Inderne i Olimp północny w Norwegii.

Pionowy układ Norwegii przedstawia nader malowniczy krajobraz, który zdumionemu oku podróżnika, co chwila nowe ukazuje widoki. Nie są to wprawdzie alpejskie obrazy zachwycające bogactwem flory, lecz poszarpane, nagie sterczące skały wiecznym pokryte śniegiem nadają okolicy prawdziwie dziko-romantyczne widoki, którym towarzyszy szum i łoskot licznych wodospadów. Godniejszemi wspomnienia są: Horund-Inderne położona w pobliżu miasta okręgowego Bergen i Olimp północny przedstawione na str. 764 i 768 pisma naszego.

Góry te są niewyczerpaném źródłem podań i legend miejscowych; utrzymujących jakoby powstały z zamienienia olbrzymów w kamienie, kuszących się zawładnąć światem i stawić opór samemu Niebu.

LUDY KAUKAZU I KAUKAZ.

(Z BODENSTÄDTA).

Z wschodnich wybrzeży Pontu, zamieszkałych przez rycerskie plemiona Szapsucha i Adighé ciągnie się wielki łańcuch Kaukazu, spoglądając na dwa morza, rozdzielając dwie części świata w kierunku południowo-wschodniém aż do półwyspu Apszeron, który w kształcie kończystego dzioba, zapuszcza się w morze kaspijskie. Na tym półwyspie gorejąą wieczne ognie, na nim znaleźli przytułek ostatni wyznawcy Zoroastra.

Kaukaz, w którego górzystém położeniu wyróżniają się trzy pasma gór, obejmuje swojemi zarysami i rozgałęzieniem przeszło trzydzieści mil przeciętnie. Na południu niedaleko czarnego morza łączy się pomniejszemi górami z wielkim łańcuchem Araratu; ku północy, wzgórza jego nikną w stepach południowéj Rossyi. Tu napotykamy Besztan czyli Piatygorsk, góry stanowiące przednią straż wielkiego łańcucha, następnie przenosimy się do najwyższéj Elbrus; jedném spojrzeniem objąwszy ciągnące się wzgórza na zachodnim brzegu Pontu, zatrzymujemy się przy drodze wojskowéj przecinającéj te góry w kierunku południowo-zachodnim morza Kaspijskiego,

Besztan (Besch-dagh czyli pięć gór) jest dawną siedzibą Czerkiesów, nazwanych Kabardyńcami. Na południowo-wschodniéj stronie Georgiewska, na drodze do Konstantynogórska, wznoszą się w niejakiém od siebie oddaleniu cztery góry lasami pokryte; złączone z sobą wysokim grzebieniem, zwanym Grzbiet Ośli, tworzą rodzaj kotliny, z któréj środka wznosi się piąta najwyższa góra formy konicznéj. Na szczycie jéj kryjącym się w obłoki, zaledwie dziesięciu ludzi stanąć może. Z pozostałych czterech gór godna wspomnienia Maszuka czyli Metszuka, z któréj podnóża wytryskają sławne gorące siarczane źródła. Ramię gór łączące Besztan z pasem wielkich gór kaukazkich, ciągnie się stroną południowo-zachodnią między Kamą i Kubaniem, a wznioślszy się stopniowo, w końcu łączy się z najwyższą górą Kaukazu, Elbrus.

Elbrus (Elborus) najśmielsze i najwspanialsze wyobrażenie sił wulkanicznych, które dały życie téj massie olbrzymiéj gór, wybiega samoistnie z otaczających go przedgórz długim grzbietem na 10,000 stóp wysokim, wyzębionym skałami różnego kształtu. Obniżając się stromo tworzą rodzaj wyżłobienia podobnego do krateru, z którego wznoszą się dwa ostrosłupowe szczyty wiecznym pokryte śniegiem. Przy pogodném niebie można je widziec gołém okiem o mil kilkanaście.

Odpowiednio do legend o tych górach, mają one rozmaite nazwiska. Persy i Tatarzy zowią je Kaf-dagh, i ztąd nazwa całego Kaukazu; Rossyanie zowią je Szatgóra, Abchazy, Orfi-Itub, a w Adighé Oszga-mahua, czyli góry szczęśliwych. Plemiona zamieszkujące Kaukaz zowią je Dszin-Padiszach (król duchów) albowiem według podania przepaści ich mają być wejściem do Dszinistanu czyli kraju duchów, w którym przebywają powietrzne błogosławione Peri, wieszczki Wschodu o wiecznych wdziękach i dziewictwie.

Na wyżynach nieprzystępnych ludziom od tysiąca lat przebywa Simmurg, starzec ptak-bogów, który jedném okiem patrzy w przeszłość, drugiém w przyszłość. Kiedy Simmurg powietrzne przerzyna szlaki, ziemia drży w posadach od gwałtownych uderzeń jego skrzydeł, burze wyją, morze piętrzy się falami, a ogromnym wód przewałem budzi wszystkie duchy śpiące w jego głębi. Niekiedy z powietrznego tronu starca proroków ptaka dochodzi głos jęku i żalu; naówczas w lasach milknie śpiew ptaków, kwiaty chylą głowy, potok dziko huczy spadając z gór, które w żałobie otaczają oblicze swoje ciemną zasłoną obłoków.

Częściéj jednak z wysokiego tronu Simmurga dolatuje śpiew błogosławionych, jakby brzmienie strun tysiąca. Niebo wtenczas jasnym przyodziewa się błękitem, promienie słońca jak złote myśli odbijają się na śnieżném gór czole, potok płynie jak szmer radosny, a kwiaty niosą woń tak słodką jak oddech z ust Peri.

Oto kropla z pierwotnego, ale z ożywczéj piersi gór wiecznie odmładzającego się źródła podań Kaukazu. Musimy jednak opuścić niepewne wyżyny świata mytów, a pewną nogą stanąć na gruncie rzeczywistości.

W północno-zachodniéj stronie Elbrus, wzdłuż wschodnich przybrzeży Pontu, Pelaw-Tepesz, czyli czapka Saffar-beja i Oszten, w ziemi Abchazów i Abadzów Idokopas, oraz Szapsuch w ziemi Adighé, stanowią najwyższe szczyty gór.

Na południo-wschodzie od Elbrusu w siedzibie Ossetów, nieopodal od georgijskiéj drogi wojskowéj, wznosi się Kasbek, 15,400 stóp wysoki, jakby środkowy punkt z wielkiego łańcucha gór. Przenosząc się z północy na południowo-wschodnią stronę Kaukazu, dochodzi się do pokrytéj wiecznym śniegiem góry Krestowaja, czyli góra krzyża, u któréj stóp leży pocztowa stacya Kobi. O milę daléj wioska Bajdar, zamieszkana przez biednych Ossetów, których trudném życia zadaniem, jest przeprowadzanie podróżnych zbłąkanych w czasie śniegów lub burzy. Nieco daléj, wznoszą się góry w południowym kierunku, z początku stromo, późniéj przechodzą w łagodny pas pagórków, wnikający w serce Georgii, w błogosławione doliny Aragwy.

Wziąwszy Kasbek za punkt środkowy, patrząc na wielkie pasmo gór ku południowo-wschodniéj stronie, najprzód ukazuje się linia śniegu góry Barbela w Lesgistanie, potém Szach-dagh (królewska góra) w prowincyi Kuba, Dast-dagh (góra przyjaciół), Baba-dagh (ojcowska góra) między Szeki, Szirwanem i Baku, w końcu przy Kaspijskiém morzu Besz-Parmaki-dagh, czyli pięcio palcowa góra, odpowiadająca zupełnie nazwą swojemu kształtowi.

Jak góry pełne są wspaniałéj i zdumiewającéj rozmaitości, tak i roślinność ziem objętych ich ramionami. Stosownie do położenia ziemi i klimatu, napotykamy całe bogactwo najpiękniejszych płodów obu stref umiarkowanych. Kiedy sosny i jodły drżąc spoglądają ze swoich wyżyn na uśmiechające się doliny, pod drzewem bobkowém śpiewa słowik, winna latorośl wężowym splotem sięga wysoko cienistych wiązów, wysmukłe cyprysy wybiegają w powietrze jak zielone wieżyce leśnéj świątyni; wiatr szeleści gęstym liściem drzew orzechowych, jaworów, pineli, i innych; Rododendron i azalea pontica stroją się w olbrzymie kwiaty.

Gęste, nieprzejrzane lasy, urodzajne niwy, bogate łąki, przesuwają się cudnie przed okiem przechodnia; natura rozsypała na te kraje róg obfitości swoich błogosławieństw, ale człowiek nic jéj nie dopomaga i wiele jeszcze czasu upłynie, nim korzystać będzie z tych nieoszacowanych darów natury, która go otacza wszystkiém co tylko ziemia wydać może, w pierwotnéj świeżości i sile. Lasy na Kaukazie przecięciowo sięgają 7,400 stóp wysokości; ostatnie karłowate wyrosty giną w czołgających się krzewach w kamienistym pokładzie. Przeciągłe grzbiety gór i lekkie wyniosłości przy wschodniém wybrzeżu morza Czarnego, silnym są porosłe lasem; bukszpany, klony (jesion wschodni), olchy, dęby, orzechy, dzikie owocowe drzewa, zadziwiające grubością i wzrostem. W niższéj części Ossetów ziemi, znajdują się dęby, buki, wiązy, olchy olbrzymich rozmiarów; mianowicie też wschodnie pasy gór łupkowych odziane są nieprzejrzanemi lasy. Podobnież i długie grzbiety gór w ziemiach Dagestanu, pokrywają odwieczne wiązy, jesiony buki i lipy; osłaniając niedostępne wyżyny, spokojnie dosięgają najwyższego stopnia wzrostu i wieku naznaczonego im przez naturę. Szczególnéj dobroci są prześliczne brzoskwinie, morele, jabłka, gruszki i wiśnie. Kaukaz jest ojczyzną latorośli winnéj, która tu dochodzi nieznanéj grubości i wysokości. Nie trudno spotkać winne grono 14 funtów ważące. W kwitnących dolinach Kur, Fazys, Alazem, umiejętnie i starannie chodzą około wina, a Kachety słyną powszechnie z winogradu. W urodzajnych dolinach Szeki i Szirwanu, hodują drzewa morwowe i bawełniane, w chanacie Talisz uprawiają z korzyścią trzcinę cukrową. Najniepłodniejszy w rolnictwie jest chanat Awasski, mieszkańcy jego bardzo biedni; Kasikumyki i Jelissujczycy zajmują się hodowlą bydła. Dagestan zwłaszcza w północnéj stronie obfituje w zboże różnego gatunku. Jedwab, bawełna, marzanna szafran, wino, ryż, proso, owies, jęczmień, kukurydza, pszenica i tytuń są przedmiotami wywozu.

Z łatwością dymyślić się można, że wielka rozmaitość położeń i wrodzonych własności krajów Kaukazu, przedstawia najwydatniejsze różnice klimatu. Kiedy nieprzeniknione śniegi i pancerz lodowy okrywają wiecznie głowę i grzbiety gór, w nizinach śnieg i lód należą do rzadkich zjawisk zimowych. Są miejsca, które zdrowém i łagodném powietrzem walczyć mogą o pierwszeństwo z błogosławionemi miejscami; są i takie, których noga wędrowca nie dotknęła jeszcze. Kiedy podróżny przejęty zimnem, z trudnością toruje sobie drogę przez wysokie świeżo upadłe śniegi na górze Krzyżowéj, w ogrodach Tyflisu kwitną róże i drzewa migdałowe.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

— Sejmiki w Niemczech, przy zupełnéj swobodzie zgromadzeń, są niemal co tydzień na porządku dziennym. Zjeżdżają się na narady prawoznawcy, filologowie, antropologowie, biskupi, starzy katolicy, księgarze, przemysłowcy, wyrobnicy; nie ręczymy nawet czy nie sejmikują właściciele hotelów nad nowemi środkami oskubywania naszych „hrabiów," złodzieje nad nowemi wynalazkami w przemyśle wytrychowym i żebracy nad pozytywném trafianiem do serc pozytywnych bliźnich. Wśród tego powszechnego sejmikowania, kobiety podobnież nie omieszkały użyć zjazdów za środek wzajemnego oświecania się w sprawie swojego położenia społecznego i propagowania myśli wyzwolenia, a właściwiéj mówiąc rozszerzenia obrębu pracy niewieściéj. Kilka takich zjazdów już się odbyło w latach poprzedzających; ostatni był w roku 1868 w Stuttgarcie, lecz o ile sobie przypominamy, spełznął na niczém dla braku wcześnie obmyślanego programu. Unikając tego szkopułu na przyszłość, berliński komitet centralny rozwoju wychowania niewieściego i polepszenia położenia kobiet, zamierzywszy w roku bieżącym zwołać podobny sejmik do Wiednia, wcześnie pomyślał o szczegółowym programacie. Narady miały się odbywać w stolicy Austryi w domu Towarzystwa oświaty ludowéj dnia 9, 10 i 11 października; roztrząsać zaś na nich miano siedmnaście zagadnień tyczących się zachęcania przemysłu żeńskiego, rozwoju sił umysłowych do pracy kobiety, oraz praw społecznych i politycznych niewiasty.

— Ostatnie przewroty polityczne w Europie popchnęły wiele kobiet znakomitego rodu z Włoch, Hiszpanii i Francyi do szukania chleba w pracy, zwłaszcza zaś na scenie opery lub w koncertach. Do liczby takich upadłych wielkości wykwintnego świata należy margrabina de Santajana, była dama dworu ex-królowéj hiszpańskiéj Izabelli. Pani ta debiutowała w Neapolu w operze Herolda „Pré aux Clercs" w roli Izabelli; podczas zaś tegorocznéj jesieni będzie śpiewała w Rzymie w teatrze Apollo, w operach Thomas'a i Flotow'a.

— W Syberyi wypalanie zeschłéj trawy na ogromnych równinach sprowadza nieraz opłakane skutki przez zaniesienie pożaru w lasy i osady. W ostatnim takim wielkim pożarze ogień rozciągnął się od brzegów Irtysza aż do brzegów Iszymu przeszło na 15-milowéj długości. Obliczają, że zginęło w ogniu 192 domów, 85 mężczyzn i kobiet, 89 dzieci, 1,303 koni, 708 bydła rogatego, 3,183 owiec, oraz 72,175 stogów siana.

— Astronom rzymski ksiądz Secchi donosi w paryzkiém czasopiśmie naukowém „Les Mondes", że dnia 7go Lipca r. b. zauważył na słońcu potężny wybuch wulkaniczny. Postać obłoków pary unoszących się nad powierzchnią słońca nader szybko się zmieniała, wysokość wytryskającéj kolumny dorównywała sześciu średnicom ziemi, czyli przeszło 10,000 mil geograficznych, całe zjawisko trwało około dwóch godzin. Rzecz godna uwagi, iż jednocześnie prawie na ziemi obserwowano zaburzenie elektryczne i magnetyczne: zorza północna była tak silna, iż widziano ją aż w Madrycie, a we wszystkich obserwatoryach magnetycznych narzędzia wskazywały nader mocne perturbacye.



Olimp północny.



Panu S. w Żelechowie. Wieniec oddawany bywa najregularniéjna pocztę we Środę i w Sobotę każdego tygodnia; postaramy się uczynić zadosyć żądaniu pańskiemu.

Panu L. . . . w Miechowie. Nra brakujące Wieńca wysłaliśmy. Każdy Nr. Wieńca bywa najregularniéj na pocztę oddawany za pokwitowaniem.

Zeszyt jedenasty
ENCYKLOPEDYI POWSZECHNEJ
opuścił prassę.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 2 (14) Октября 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand **Mag. Pr. i Adm.**

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.